

Rok IV.

Nr. 2.

WÓRZMY!

Miesięcznik uczniów państwowego gimnazjum Im. Hetmana Karola Chodkiewicza w Lidzie.

Lida, — Grudzień — Styczeń — Luty. Rok szk. 1935/36.

Redakcja zwraca się z usilną prośbą
do prenumeratorów, by, celem uniknięcia
nieporozumień, należność za „Twórzmy”
uiścili do dn. 10.II. 36 r.

Prezydent Rzeczypospolitej a my.

Dzień 1 lutego — dzień Imienin największego dostojnika Państwa.

Profesor Ignacy Mościcki dwukrotnie zostaje wybrany Prezydentem Rzeczypospolitej—wielkie muszą być Jego zasługi dla narodu. Te czyny, te zasługi, ta wiedza, którą posiada, zbliżyły nas — młodzież uczącą się, do Osoby Pana Prezydenta. Nie rozumiemy jeszcze polityki i jej arkanów, natomiast zagadnienia naukowe w każdej formie, czyto rozważań czyto teoretycznych, czyto praktycznych, niezmiernie nas interesują i tu właśnie spotykamy się z Panem Profesorem, bliskim nam i zrozumiałym. Jesteśmy dumni z tego, że to właśnie nasz Prezydent wynalazł metodę wydobywania azotu z powietrza, że właśnie On wynalazł maszynę, która zwykle pokojowe powietrze, przetwarza w lecznicze, górskie i pozwoliła tysiącom chorych na płuca znaleźć zdrowie i siły, bez kosztownych wyjazdów. Zamiast korzystać z zasłużonego odpoczynku — pracuje w laboratorjach, bada, konstruuje i dla sławy wiedzy polskiej, wydiera przyrodzie jej tajemnice. Jakże to wspaniały przykład do naśladowania. Ile wiary w swe siły, w swą przyszłość, czerpiemy z poczucia miłości i spójni duchowej z Kierownikiem Nawy Państwowej. Przeżywamy obecnie ciężką chwilę w historii świata, kryzys. Są ludzie, którzy opuszczają beznadziejnie ręce, nie wierząc w poprawę. Nie mają oni jednak prawa tego czynić. Historia narodów i państw nie jest historią chwili. Życie, z jego pięknem, tworzą ludzie, którzy umieją czuć i wierzyć. Ludzie noszący w sercu swoim pierwiastki twórcze i stałą niezachwianą wiarę w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości—zwyciężają. Takim przykładem i takim człowiekiem jest dla nas Nasz Prezydent.

RENIFER.



806741

Na terenie działalności społecznej.

Był pogodny, mroźny—jesienny dzień. Taki jeden ze zwykłych dni, w których najczęściej staje się coś niezwykłego. Otóż tem „cosiem” niezwykłym w zwykłym, pogodnym, historycznym dniu był wyjazd VIII-ej klasy do Dajnowa.

Dwadzieścia jednostek uspołecznionych (dwudziesta pierwsza to pan wychowawca) zjawilo się na dworcu w Lidzie. W godzinę potem na dworcu w Werenowie. W kilka minut—na furach gospodarzy dajnowskich. Piorunem wszystko. Szkapiny tak unosiły—własna z Lidy „orkiestra” tak rżnęła, że obywatele miasteczka Werenów zdumiewali się—czyje to mogło być wesele, że taki wielki sznur furmanek z młodemi istotami, oraz taka „piękna muzyka”?

Jakowóż po dłuższym czasie „społecznicy” zmarznięci „na kość” i „wytrząśnięci” porządnie, stanęli przed szkołą t. zn. przed chałupą o omszałej na zielono strzeższej, na której chorągiewka wesoło powiewało w takt wiatru. Dzieci już stały na podwórzu, wysypanem żółtym piaskiem. Klaniały się „w pas”. Wołały:—Dzieńdobry Koledzy! Ddzieńdobry Koleżanki!—

—Dzieńdobry!—odpowiadali, szczękając zębami „koledzy” i „koleżanki”—

Na szczęście p. nauczycielka, uosobienie wdzięku i młodości, zabrała wszystkich do sali szkolnej i prosiła rozgościć się „jak u siebie w domu”—

Tymczasem dzieci odśpiewały piosenki. Jakiś chłopak wypalił „przemowę” o ś. p. Marszałku—przy solennem podpowiadaniu. (Podobnie jak u nas).

Potem — dzieci odegrały sztukę przedstawiającą „Ziuka” i jego kolegów z czasów gimnazjalnych. Szczególnie wzru-

szajaco wypadła Zuleńka, siostra „Ziuka”. Wyglądało to, jak teatr marionetek. Zwłaszcza, że ton recytowania był idealnie jednakowy, nie ciniowany. Ale i to było wielkim wysiłkiem ze strony „kolegów” z Dajnowa. Należało więc czuć dla nich wdzięczność za tyle starań.

... Potem wystąpili goście z referatem, 1-o aktówką—deklamacją, śpiewem i tańcami. Trochę smutnie wypadło ze sceną. Wysoko zbudowana—więc dorodny kwiat młodzieńców VIII-ej kl. sięgający 2 m. wys.—musiał skulony ruszać się po scenie, albo czasem i „wyrżnąć się” głową o sufit. Ale ... krakowiak! ? godny pióra Reymonta. „Krakowianki” mieniące się wypożyczonemi w Lidzie koralami, wstążkami, serdakami wyglądały nadzwyczaj efektownie. Tęczowy ogień barw krakowskich migał i migał na scenie w takt muzyki, wodząc za sobą oczy widzów. Zstąpili wreszcie z desek sceny—gdy dzieci i rodzice zaczęli zapraszać do siebie na obiad. Hm! To brzmiało bardzo mile dla wygłodzonych „artystów”. „Krakowianki” i oficerowie z 1-o aktówki z ochotą przystali na to.

Do każdego domu zabrano po parze t. zn. „panienkę i panicza”. Gospodynie pokładły całe stosy razowego chleba na obrusach obok talerza, względnie misy, z olbrzymią ilością jajecznicy lub mięsa. Znikł chleb, jajecznicza, mięso. W czasie „obiadu” wyłoniła się rozmowa o stanie gospodarczym i kulturalnym wsi. Otóż—wieś skolonizowana podczas wojny — jest dość zamożna. Najuboższy wieśniak posiada 2 morgi. Najbogatszy 2 włóki t. zn. 60 mórg. Poziom kulturalny wysoki. Wielu z gospodarzy prenumeruje gazety—czyta książki.

Po polsku zupełnie poprawnie mówią (coś niebywałego na wsi na kresach). Rozumieją potrzebę szkoły i są zadowoleni, że istnieje ona w Dajnowie. Żle tylko że zimą, niektóre dzieci nie mają ciepłych ubrań, a zwłaszcza bucików, co utrudnia uczęszczać na lekcje. Ale jakoś się radzi.

Gdy ciekawość została zaspokojona należało opuścić schludne, jasne izby wieśniaków,—„goście“ odprawdzani przez całą rodzinę udali się do szkoły.

Harmonja i skrzypce poszły w ruch. Ośmielono klasiści puścili się w tany. Wieśniacy tłoczyli się. Przyglądali się tangu. Ale gdy harmonja kol. Filipczyka ze smyczkiem kol. Życha zaczęły wydobywać szkoczne oberki ze siebie — chłopcy dajnowscy nie ustali. Ośmieleni zachętami porywali „Krakowianki“ dzwoniące koralami i wywijali, ach jak wywijali... na czterech deskach, jeszcze niezajętych przez podziwający tłum.

Uczniowie tańczyli z dziewczętami wiejskimi, na które niezwykle wrażenie wywierał strój oficerski kol. Duńki, a tem niemniej i jego osoba. Pan wychowawca z zegarkiem w ręku (nawet w Dajnowie) przerwał polki i oberki. Czas było w drogę. Nastąpiły wzajemne podziękowania. Prośby o pozostanie na noc. „Społecznicy“ mówili, że chętnie zostaliby — ale już mieli w kieszeni bilety powrotne — więc nie mogą...

Przed odjazdem p. nauczycielka zabrała „artystów“ na kolację, gdzie nikt tak nie skorzystał jak Gućio, który przez zjedzenie 16 jaj na twardo i wypicie 7 szklanek kawy przejdzie do historii niebywałych wydarzeń z życia szkolnego.

Znowu gorące podziękowania. Zapewnienia o słodczy pobytu, żal szybkiego wyjazdu. Wyjazd.

... Resztę już księżyc dopowie.

W. S. kl. VIII.

— — — — —
Postanawiamy jechać do Smilgiń z akademją z okazji 17. rocznicy odzyskania niepodległości. Piszemy list do nauczyciela w Smilginiach. Ów odpowiada, że z chęcią nas tam będą widzieć. Rozpoczynamy próby, przygotowujemy się do wyjazdu. Najgorsza rzecz, to komunikacja. Furmankami jechać nieposób, bo listopad nie grzeje, pociąg zaś do Smilgin nie dochodzi. Prosimy wojsko o samochód. Odmawiają. Aleśmy sobie powiedzieli, że pojedziemy, więc płacimy 44 zł. za autobus i mamy już możliwość wyjazdu. Wprawdzie kosztą, jak na nas, za wielkie. Lecz trudno! Decyzja zapadła jednomyślnie.

W niedzielę dn. 17 XI.35 r. (11.XI. brałmy udział w uroczystościach w Lidzie)

wyjeżdżamy do Smilgiń. Niebo zostało nam piękny, pogodny dzień. W wesołym nastroju, 20 osób z p. profesorem na czele wyrusza na wieś — nie znamy jej jeszcze: Jak nas tam przyjmą? Czy będą czekały na nas furmanki w Raduniu? Wśród swoich czas mknę wesoło i szybko. Ot już i Raduń! Wyskakujemy z autobusu. Na progu jakiegoś domu widzimy ludzi. To że Smilgin przyjechali do Radunia, by nas zabrać do swojej wsi, bo tam autobus nie dochodzi. Witamy się, przyglądamy się, boć pierwszy raz widzimy się. Potem na wozy i jazda! Wszczynamy rozmowy z wieśniakami. Z chęcią i widoczną szczerością opowiadają o sobie, życiu na wsi. Niektórzy z nich są Litwinami, ale mówią, że czują się Polakami, dzieci uczą w pol-

skiej szkole i wszystko, co jest polskie, żywe ich interesuje. Ot i teraz, jak mówi jeden starszy gospodarz, czekali na nas od samego rana.

Wreszcie wjeżdżamy do wsi i zatrzymujemy się przed drewnianym domkiem, przed którym stoi gromada dziatwy i starszych. Witają nas uprzejmie, a nauczyciel przemawia do nas w ich imieniu. Ciekawi ujrzeć wewnątrz niezbyt okazałej z zewnątrz szkoły, wchodzimy do izby szkolnej. Jest to izba długa na jakieś 6 mtr. szeroka na 5 mtr., wysoka zaś około 2,5 mtr. Tę izbę ozdabiają cztery małe okienka, portrety p. Prezydenta i ś. p. Marszałka, parę obrazów i... podłoga. Tę ostatnią wymieniam dlatego, że w tej wsi jest ona wielką rzadkością. Można ją znaleźć tylko w szkole i jeszcze jednym domu.

Wieś nas interesuje ogromnie. Wdajemy się w rozmowy ze starszymi i dziećmi. Z rozmów tych dowiadujemy się, że jest to jedno-klasowa szkoła, istnieje ona tu od 1925 roku niema jeszcze własnego budynku. Przychodzą do niej dzieci ze Śmilgin Nowych oddalonych o 1,5 klm. i częściowo z Dubieńców leżących o 2,3 klm. Ogółem uczęszcza do tej szkoły 84 dzieci, które uczą się w ten sposób, że najpierw pracuje pierwsza zmiana licząca 38 dzieci, potem druga zmiana 46 dzieci. Szkoła ma także bibliotekę, składającą się z 156 książek.

Czasu wiele nie mamy, więc w jakąś godzinę po przyjeździe rozpoczynamy akademię, przedtem jednak zrobiliśmy z derek czyli jak tu nazywają dzierużek, kurtynę. Dzieliła ona „scenę“ o powierzchni jakichś 7m² od „widowni“. Ludzi napełniała się moc, tak, że w „sali“ brakowało miejsca. O tem, w jakich warunkach odbywała się nasza akademja świadczy najlepiej to, iż w czasie przedstawienia

obrazka z życia legionów p. t. „Rozkaz“, dzieciaki opierały się rękami o stół stojący na scenie, a „aktorzy“ przy zmianie miejsca, gdy wymagała tego sytuacja, musieli się przepychać wśród dziatwy. Nie psuło to jednak nastroju, — rozradowane twarzyczki i błyszczące oczy mówiły o tem, jak widzowie są zadowoleni. My zestawiając to z prymitywnymi warunkami, w jakich odbyło się nasze przedstawienie, zrozumieliśmy naprawdę potrzebą naszego tutaj przybycia. Bardzo podobały się wieśniakom tańce w narodowych strojach góralskich. Największą jednak przyjemność sprawiły im wesołe piosenki białoruskie, wykonane przez chór chłopców. Nawet u starszych płonęły oczy, a zachwyt ich był tak wielki, że i śmieli się i klaskali i prosili o kilkakrotne powtórzenie.

Po akademji mieliśmy jeszcze jedną godzinę czasu do odjazdu. Postanowiliśmy jeszcze bardziej zbliżyć się do wieśniaków. Urządziliśmy tańce. Z początku wieśniacy nie mieli odwagi z nami tańczyć. Ale wnet koleżanki same poprosiły ich do tańca i potem tak się rozbawili, że nawet jakieś dwie stare kobiety puściły się w tany.

Nadszedł czas odjazdu. Przy pożegnaniu wieśniacy proszą nas serdecznie o przyjazd i obiecują wysłać furmanki po nas do Lidy. Zgadzaemy się również z chęcią na tę propozycję. Wsiadliśmy do autobusu i przez całą drogą rozmawialiśmy i dysputowaliśmy na temat owych „naszych“ Śmilgin.

Poznaliśmy ciężką niezmiernie pracę nauczycieli na wsi, naocznie ujrzeliśmy, jak wiele korzyści przynosi państwu trud tego skromnego pracownika.

Zetknęliśmy się bezpośrednio z ludem, poznaliśmy mniej więcej jego charakter, a co najważniejsze każdy z nas stał się

gorącym zwolennikiem pracy, podjętej dla wsi. Dlatego po sprawozdaniu z tego wyjazdu przed Gminą, zaproponowaliśmy, że znów tam pojedziemy. Wtedy jednak ci, którzy poprzednio nie byli w Smilgach powiedzieli, że oni chcą koniecznie też tam pojechać. Taki entuzjazm ogarnął całą gminę, że jednogłośnie postanowiliśmy wysłać paczkę do Smilgiń na Boże Narodzenie. Każdy, co mógł, to przynosił na

tę posyłkę. No i oczywiście udało się nam coś zebrać i posłać, bo wszyscy przyłożyliśmy do tego rękę. W czasie zaś feryj odbywały się próby, bo spodziewamy się znów zawitać do Smilgiń.

Wszyscy myślimy o tem, tylko że narazie, niema sanny, a wozami trudno jest dojechać, gdyż jest jeszcze zbyt zimno. Mamy jednak nadzieję, że wkrótce znów zawitamy do „naszej wsi“.—

Marsz po „Pionie“.

Leży przede mną gwiazdkowy numer „Pionu“. Niezrażony jego czterdziestostornicową objętością, zabieram się do czytania. Łatwo powiedzieć „czytam“, łatwo czytać powieść sensacyjną, romans Zarzyckiej, ale trudniej wprowadzić to w czyn mając przed sobą płachtę „Pionu“, o potężnych rozmiarach, zapełnioną kolumnami drobniutkich liter. Nic dziwnego, że „Pion“ leży w czytelnicy zapomniany, świecąc dziewczęcimi, nierozciętymi kartkami. Zatem strzępy tylko pozostają z „Przeglądów Sportowych“ i innych t.p. dzienników. „Pion“ jest za poważny. Rzeczywiście. Ale dla tych, co nie chcą się zmusić do czytania, które wymaga pewnego nastawienia myślowego na dany (czytany) temat, pewnych koniecznych rozumowań i wglębień się w myśl przewodnią artykułu. „Pion“ jest pismem dla inteligencji, dla jednostek, które idąc z postępem czasu, nie pozostają w tyle w dziedzinie kultury duchowej, literatury i sztuki. Każdy jego numer przynosi artykuły, poświęcone najróżnorodniejszym zagadnieniom literacko-społecznym. W omawianym numerze czołowym artykułem jest

sprawa wychowania obywatelskiego młodzieży w szkole. „Ideal wychowawczy — według słów ś. p. min. W. R. i O. P. Sławomira Czerwińskiego — jest tem trwałszy, im bardziej wyrasta z podłoża warunków historycznych, potrzeb społecznych prądów duchowych epoki. Musi on być w harmonji z tem, do czego społeczeństwo w danym okresie dziejowym dąży, czego potrzebuje i w co wierzy“. Taki ideał nie został jeszcze w Polsce stworzony, ale min. Czerwiński wyraża głęboką nadzieję, że po przeprowadzeniu wszystkich reform, które sam zapoczątkował — stanie fundament, na którym mocno oprze się gmach nowych pokoleń. Artykuł twierdząco wymawiający braki dzisiejszej organizacji oświaty w Polsce, brak ideału dla młodzieży szkolnej, błędzącej wśród gmatwaniny nowoczesnych prądów społecznych, niedających w rezultacie nic konkretnego, pozostawiających po sobie zniechęcenie i rezygnację w szukaniu coraz szczytniejszych, a bardziej realnych celów. Artykuł to zarówno dla wychowawców, jak i wychowanków; jednym i drugim otwiera oczy na zły stan rzeczy w szkol-

nictwie, w wychowawczych wysiłkach społeczeństwa starszego i stanowisku wobec nich młodzieży.

Pozostałe artykuły poświęcone zagadnieniom literatury polskiej i obcej przynoszą wiele ciekawych nowości. Czytamy trzy, nieznane dotąd, wiersze Kasprowicza i zapoznajemy się z polemiką, jaka wynikła między publicystami na temat twórczości Kasprowicza. Doskonali szermierze słowa, sławni literaci, wypowiadają swe zdania na łamach „Pionu” ostro krytykując nawzajem swe artykuły. Wacław Borowy w książce „Dziś i wczoraj” rozprawia o autorach okresu Młodej Polski—podkreślając w studjum o Kasprowiczu wartość i piękno jego poezji. Nie zgadza się z tem Elzenberg i odpowiada Borowemu, krytykując utwory Kasprowicza szeregiem mocnych wyrażen, zarzucając mu ubóstwo słowa i niefortunność form stylistycznych. Napewno w następnym numerze Borowy odpowie „ciętym” artykułem swemu przeciwnikowi. Coraz szersze kręgi zatacza polemika (nie tylko w „Pionie”) w związku z zainteresowaniem się pracami literackimi angielskiego pisarza, a Polaka z pochodzenia, Józefa Conrada Korzeniowskiego. W omawianym numerze aż trzy artykuły są jego twórczości powieściopisarskiej poświęcone. Pytanie, dlaczego Polak stał się sławnym pisarzem angielskim, zapomniawszy o swym pochodzeniu, jest różnie komentowane. W „Pionie” autor artykułu: „O dziedzictwo polskie w twórczości Conrada”, stoi na stanowisku, iż Korzeniowski pomimo tego, że przyjął inne nazwisko, uznał Anglę za swą ojczyznę, nie zatracił jednak w sobie cech polskości. Opiera się przy tem twierdzeniu na pismach i pamiątkach Conrada, w których można się dopatrzeć, że Korzeniowski po-

został Polakiem do końca życia, nie wyrugował ze swych wspomnień myśli o Polsce. Wartościowe są również prace o sztuce, które są umieszczane w każdym numerze. Ciekawy jest reportaż z pobytu w Biskupinie na terenach ostatnio dokonanych wykopalisk osady z wczesnego okresu żelaza. Na szczególną uwagę zasługują artykuły, pozwalające poznać literaturę zagraniczną. „Pion” zamieszczając tego rodzaju prace, staje się dzięki temu pismem uniwersalnym, dającym możność porównania twórczości polskiej z obcą, wydania pewnego sądu i lepszego zrozumienia.

Wreszcie poezja. Utwory poetyckie zajmują niepoślednie miejsce w „Pionie” i są tem wartościowsze, że obok znajdujemy ich krytykę, pisaną przez sławnych, doświadczonych krytyków jak np. Irzykowski. Do powyższych zalet „Pionu” dodać trzeba starannie prowadzoną recenzję najnowszych wydawnictw. Orientujemy się dzięki temu w wartości wydanych ostatnio książek, to też później czytamy je z przeświadczeniem, z powziętem już zdaniem, opartem na zdrowej, rzeczowej krytyce. Co mną kierowało przy pisaniu tego artykułu zrozumie, ten, kto będzie czytał „Pion”. Najczęściej się mówi o „Pionie”, że jest za poważny. Przyznaję, ale nie zawsze. Są pewne artykuły, poruszające zagadnienia literackie, które może czytać jedynie wytrawny polonista, znający literaturę polską i obcą gruntośnie, mający przygotowanie fachowe do tego kierunku pracy.

W większej części „Pion” jest zrozumiały i dostępny dla uczniów średniej szkoły.

Jerzy Duńko kl. VIII.

Wpierw naostrzyć narzędzie, potem niem pracować.

Dzisiaj wpada ciągle w ucho słowo „społeczny“, a już najczęściej to w szkole. Mnóstwo organizacyj na terenie gimnazjum potwierdza mniemanie, że pojęcie pracy społecznej aż nadto nie jest u nas obce. Ciągłe słyszy się o zebraniach, zarządach, sekcjach, prezydjach, jest się świadkiem zapalonych dyskusyj (czasem i niekoniecznie jałowych). Ciało młodzieży podzieliło się na moc członków.

Ten partykularyzm nasuwa pewne obawy: mianowicie zachodzi możliwość rozdrobnienia energii ucznia, który należąc do wielu organizacyj, nie może pogodzić ich wymagań z obowiązkami naukowymi. Taki stan może sprowadzić jak najgorsze skutki. Młodzi ludzie poszli za podniętą dobrych chęci, nie obliczywszy się z siłami. Warto poszukać jakiegoś wyjścia z przykrej sytuacji.

Ale mało tego: do takiego stanu rzeczy dołącza się jeszcze zmora, która jako surogat pracy, wnosi wszędzie tylko doktrynerstwo. Mam na myśli nieprzygotowanie do podejmowanych zadań, brak sił do realizowania, czyli, przy ciężących ze swej strony obowiązkach szkolnych, porywanie się z motyką na słońce. O tem szczególnie chcę teraz powołać.

Tu autor „Na przemie“ aż prosi się, żeby go przypomnieć. Mówi on mniej więcej tak: Narzekamy, że w dzisiejszych czasach mało jest ludzi energicznych, zdolnych do pewnego kierowania życiem społecznem. Może przyczyna złego leży

w tem, że za dużo dziś namnożyło się młodocianych działaczy społecznych, którzy po nieudanych próbach wynieśli tylko rozczarowanie. Wpierw trzeba naostrzyć narzędzie, a potem dopiero niem pracować. — Powyższy sąd naprowadza na myśl, że można poszukać pola do pracy gdzie indziej: wewnątrz nas samych. Wyrabianie charakteru, pogłębianie wiedzy, kształcenie uczuć etycznych, ciągle wnikanie w siebie, nieustanna analiza własnych posunięć—to droga do urobienia z siebie pełnowartościowego człowieka, droga cicha, niepozorna, nierzucająca się nikomu w oczy błyskotliwymi rezultatami, ale jakże wdzięczna! Sokrates, obcuując z własnymi myślami zdołał z siebie zrobić obraz i podobieństwo prawdy—ale sofistom zdawało ile, że on w ogrodzie tylko... spaceruje.

Krótko mówiąc można i samego siebie wychowywać jeśli się chce. A skoro siebie wychowamy, — o, to już na wiele możemy się wtedy wazyć: wtedy z chwilą objęcia przez nas własnej placówki rozpocznie się właściwa działalność dla narodu. Bo przecież niewielka pociecha dla państwa widzieć wychodzącą z murów szkolnych bandę rozpolitykowanych doktrynerów, ale — zastęp dzielnych ludzi, którzy się **naprawdę na czemś znają**.

Więc serjo, może lepiej najpierw naostrzyć narzędzie, a potem niem pracować?!

Antoni Maśliński.



W Wigilję.

Biały opłatek żółcił się w świetle kopcającej lampy naftowej. Zatoczyło ono nad nim krąg, który stopniowo ciemniał, aż stał się całkiem czarny nad ścianami skleconymi z okraglaków i czterema szybami okna.

W kręgu tym znajdował się również człowiek. Jego twarz zarosnięta wspierała się na zacisniętej pięści. Wzrok gdzieś biegł nad opłatkiem w kwadrat okna, za którym lśniły gwiazdy.

Gajówka. Wigilja. — Jakaś uroczysta cisza na zarosniętej twarzy gajowego. W zacisniętej jego pięści. Na drewnianym stole. Jasnym opłatku. W żółtym kręgu lampy...—

Pod stołem coś się poruszyło. Jakieś ciche skomlenie.. — Nelly — łagodnie odezwał się człowiek. Dłoń się odwinęła i miękkim ruchem palce dotknęły jedwabistej sierści drżącego ciała. Położyła pysk na kolanach i z błogością lśniąca w zmęczonych, zażawianych, chorych oczach poddała się pieszczocie.

Była chora od kilku miesięcy. Zwaliła z nóg ją starość. Och! Ile ona w swym psiem życiu ganiała szaraków, kaczek, lisów... Ileż to razy tak sami z obrośniętym człowiekiem przeżywali emocje polowań... — a potem ciche wieczory zimowe w gajówce na wilczej skórze przed ogniem... Ile razy witali wiosnę. I lato. I jesień. Zawsze sami. Tak już dawno byli razem. Czyżby się mieli rozstać?... Przyjaciele. Obrośnięty człowiek i Nelly — suka szara w brązowe cętki, z wielką czekoladową łatą nad uchem i z śmiesznie czarnym pyskiem.

Odsunął psa. Rzucił okiem na gwiazdy za szybą. Potem na zegar kieszonkowy. Czas na pasterkę. Wdział kożuch. Z żółtego kręgu światła wszedł w siną czeluść drzwi. Nelly powlokła się za nim. Wprzągł konia do sani. Po jakimś czasie był gotów do drogi. Już miał wsiadać, gdy spostrzegł koło płozy ledwie majaczącą na sinawym w nocy śniegu szarą plamę. Nachylił się i... zmartwiał. Tylko dłoń sunęła wzdłuż szarej plamy, koło czekoladowego ucha, bezwładnie zwisającego. —Nelly—wyrzekł głosem cichym, w którym zdawały się drżeć łzy i jakiś piekący żal, taki bardzo cichy.

Nelly—powtórzył—stara przyjaciółka.

Była jeszcze ciepła. Ala oczy już stały się martwe, zasłże mgłą. Nie lśniły.

—Och! Nelly!—palce kurczowo zanurzyły się w sierści. Było mu jakoś dziwnie... bardzo dziwnie. Może dlatego, że to ostatnia żywa, dobra istota odeszła od niego i pozostał już sam. Zupełnie sam—w Wigilję... Żnowu tęży w gardle. Och! Stary człowieku ogarnęło cię wzruszenie...

Wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Złożył na skórze, łudził się, że może odejść jej. Powolnym krokiem wyszedł. Wsiadł do sań. Śnieg skrzypiał. Płozy sań wciśkały się w jego siną, nocną biel, zostawiając ślady, ale już nie miały one komu mówić, że dziwny z zarostem człowiek, taki biedny sam jechał zmartwiał. Tylko w takt skrzypiącego śniegu skrzypiało mu jakimś suchym bólem w czaszce: —Nelly.—Nelly.. Nelly... Stara przyjaciółko... Nelly... Nelly...

W. S.

P O Ś C I G .

*Zimna czern nocy firmament przenika
drżą gwiazdy,
a wieczność snuje historję kosmosu,
Przestrzeń, szalona, zawrotna przestrzeń!..
Potwory niebieskie, co wiek swój liczycie
w miliardach!*

Gwiazdki... nikłe światelka mrugają..

cisza nastraja marząco.

*Kolosalne, coście lat świetlnych setkami tysięcy
za sobą rzucili!*

Wgryźcie się w przestrzeń, chowajcie a przedziej!

ścigają, ścigają!

Istoty małe, słabe

zbroją się,

myślą gonią —

teleskop, kąty, stopnie, liczba

Przestrzeń maleje, kurczy

niema przestrzeni, niema, niema!

Lecicie w przestrzeń —

nie sami:

myśl na was wsiadła, —

ujarzmi,

wykradnie wam drogi!

Zbladł kosmos.

A na ziemi

małe, słabe istoty myślą..

ANTONI MAŚLIŃSKI.

Pod wpływem chwili.

Jakieś werba, wyjątki, odmiany

plączą się z składnią,

klebią się.. — nici splecione

gdzieś jak we mgle majaczy się

ranek rumiany.

Wies. Pola w rosie pajęczej...

las.. legis, legit, leg ..

I potem tysiąc promieni słońca

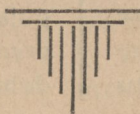
i jakaś melodia dźwięczy...

Legendus, legenda, legendum...

takie szare i smutne i zda się

— bez końca.

W. S.



Duce, Duce!!!

Rzym obleżony. Rząd usiłuje stawić opór, wydaje dekret, którego król nie chce podpisać, natomiast powierza Mussoliniemu tworzenie nowego gabinetu. Benito, syn kowala, początkowo zwykły nauczyciel, szybko lecz stanowczo i wyraźnie załatwił się z partjami opozycyjnymi, przede wszystkim socjalistami. Zniknął z horyzontu działania i życia Mateotti i in. deputowani socjalistyczni.

Od tego czasu „Duce“ jest na ustach każdego niemal Włocha.

Dzisiaj o dyktatorze Italji mówią wszyscy. Jedni uważają, że jest sławny, drudzy — że osławiony, jedni — wielki, drudzy — bezczelny władca i dobry przywódca. Różne te poglądy zachęciły mnie do wyrażenia swego zdania. Zauważyłem, że ze względu na obecne postępowanie Mussoliniego młodzież nasza reaguje niezbyt przyjaźnie, a w Nowogródku na ławach szkolnych pojawiły się nawet ulotki, opatrzone z jednej strony napisem: „Precz z Włochami!“, z drugiej: „żyj Abisynjo!“ „Wszystkiemu winien Mussolini“ — powiadają niektórzy koledzy.

Ośmielam się jednak wyrazić o Mussolinim, jako o człowieku, w mojem pojęciu, wielkim. Mussolini zawsze pogardzał wszystkiem, prócz władzy. Podeptał wolność obywatelską, wolność prasy, a nie raz prawo. Ale spójrzmy, co zrobił z Włochami. Po wojnie światowej (podczas której Mussolini był kapralem w wojsku) we Włoszech panuje bezład. Szeregi bezrobotnych powiększają się wskutek powrotu

ludzi z wojny. Kraj wyczerpany gospodarczo i materialnie. Szerzy się demoralizacja, głód. Rząd bezradny. Wypływa na naczelne stanowisko Mussolini i oto po pewnym czasie dźwiga kraj swój z nieładu, rozwija gospodarczo i politycznie tak, że Włochy stają się jednym z najpotężniejszych państw w Europie. Jeśli doprowadził Włochy do takiej potęgi — jest dobrym administratorem, jeśli stworzył „koszule faszystowskie“ i zdołał zcementować duchem swych „civites“ — jest dobrym organizatorem i przywódcą. Zdawałoby się, że do zdziałania powyżej wymienionych rzeczy, niekoniecznie trzeba być genjuszem, wystarczą pewne zdolności. Tak. Widzimy obecnie Mussoliniego na tle wojny włosko-abisyńskiej. Tu nie wystarczyłyby tylko „zdolności“, tu widzę w Mussolinim człowieka o potężnym rozmachu i niemniej potężnej woli, co w połączeniu z owemi, jak nazwałem, „zdolnościami“, cechuje umysł wyższy od wszystkich, nad — normalny, wielki.

Nie wglądam w słuszność sprawy włoskiej, może to być różnie komentowane, lecz jeśli już ta wojna istnieje, a wszczął ją Mussolini, to podziwiam go.

Cały świat jest niemal przeciw niemu, a on tak sprawę potrafił postawić, że obywatele włoscy nie tylko idą w bój i czynią ofiary wszelkie, by spełnić obowiązek obywatelski, lecz robią to z zapalem, grupują się koło Mussoliniego, wierzą w jego czyny i mowy, do rozkazów raczej podobne, a wierzą ślepo tak, jak można wie-

rzyć tylko w genjusz, jak żołnierze francuscy wierzyli w Napoleona, który też posiadał wielkie ambicje osobiste. Taki stosunek między władcą, a obywatelami istnieć może tylko wtedy, gdy władca jest wielki.

Nie mówię tu o wielu czynach Mussoliniego zbyt śmiałych, wszak i Napoleon

nie był w tym wypadku innym. Napoleon poszedł w 1812 r. w kraj również egzotyczny... skutki znane. Powrócił z Elby, powitano go, jak „wielkiego“, wojsko wysłane przeciw niemu rzuciło broń...

„Czy powitanoby tak Mussoliniego? chciałbym żyć w owej chwili, w której zobaczyć mógłbym wynik działań Mussoliniego, los i koniec.

Jerzy Duńko.

Z współżycia koleżeńskiego.

Wiele się mówi na lekcjach wychowawczych o „koleżeństwie“, o stosunku ucznia do ucznia lub ucznia do uczenicy i t. p. Panowie wychowawcy starają się stworzyć w swej klasie miłą, przyjacielską atmosferę, chcą przyzwyczaić ich do życia zbiorowego, pozbawionego wszelkiego rodzaju antagonizmów, chcą poprostu wychować ich tak, żeby lata szkolne pozostawiły niezatarty ślad w ich dalszym życiu już po opuszczeniu szkoły.

Pisze się więc dozo referatów na ten temat, przeprowadza się często dyskusje, lecz jakie są tego rezultaty?

Napozór wszyscy uczniowie w szkole są kolegami i koleżankami, w klasie zaś, jako jednej komórce wielkiej rodziny szkolnej stosunek ten ma być jeszcze bardziej bliskim, wszak razem obrywa się „dwóje“, w jednym pokoju się siedzi, a nieraz nawet wspólnie z jednego „bryka“ ściąga się klasówkę. Chłopcy stanowią zazwyczaj grupę bardziej zwartą, to też często się unoszą i wołają coś w tym rodzaju: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ i t. p. Na twarzach pojawiają się rumieńce, a oczy płoną dziwnym blaskiem podniecenia.

Entuzjazm ten udziela się również dziewczynkom. Budzi się w nich uczucie, że one należą do rodziny klasowej. Podnosi się najpierw trwożliwie jedna ręka do góry, później gdzieś z kąta druga—zabierają głos. W wywodach swych stwierdzają, że są koleżankami i jakgdyby zgłaszają się do rodziny klasowej, gdyż podają nawet wniosek, żeby chłopcy nie nazywali je paniami czy koleżankami, lecz po imieniu.

Wniosek oczywiście zostaje aprobowany, następuje to właśnie zbliżenie klasowe. Jednakże koleżanki, idąc na te ustępstwa, zastrzegają sobie ze strony chłopców pewną grzeczność. Czapkę zdejmować z uszanowaniem, kłaniać się nisko (broń Boże nie niedbale), ustępować miejsca, stać w odpowiedniej pozycji i t. p. Słusznie. Chłopiec musi być gentlemanem, a Polacy wyprzedzali inne narody swą grzecznością i recerskością w stosunku do niewiast. Chłopcy przyjmują i te warunki, jednak nie żądają wzajemnej grzeczności ze strony dziewczynek, bo—wiem one same poruszyły tę kwestję, czyli wniosek: rozumieją znaczenie słowa grzeczność.

Mija lekcja wychowawcza, podniecenie powoli zanika i to całe zbliżenie koleżeńskie pryska, jak bańka mydlana na wietrze. Są najrozmaitsze tego powody, ale jednym z najczęstszych, to stosunek uczeni do ucznia... Przykład: — ulica — koleżanka kroczy — uczeń kłania się — ona nie zwraca wcale uwagi na kłaniającego się kolegę, skierowując swój wzrok gdzieś w przeciwną stronę lub w dal przed siebie. Ostatecznie jeśli raczy się odklonić, to, Boże ratuj! ukłon podobny do ukłonu dłużnika wierzycielowi. Na ustach pojawia się dziwny grymas i niezadowolone, że ostatecznie lepiej się wcale nie kłaniać, to przynajmniej chłopcy nie będą obrywać sobie zbyt ciężkim kłanianiem się daszków u czapek.

Rażącym to się stało podczas tegorocznych ferij zimowych. Nasze koleżanki

(nie mówię tu o wszystkich) stały się nagle paniami, które już „zgóry“ patrzyły na swych „kolegów“ — sztubaków. Dziwnym jest jednak, jak szybko z tych „pań“ stały się znowu koleżankami, nazywanymi po imieniu, którym się podpowiada na lekcjach i daje się szpargały. Gdzie jest ambicja, bo grzeczności wcale nie widać? Gdy się wymaga grzeczności od drugich, to winna być ona przede wszystkim wzajemną. Zamiast obludy lepszą jest jednak twarda rzeczywistość.

Może naprawdę lepiej będzie, gdy zaczniemy nazywać koleżanki paniami, to chociaż nas nie spotka na ulicy zawód, gdy nie będziemy przez nie poznawani. A może teraz „koleżanki“ będą baczej szę zwracały uwagę? Czekajmy.

Pik.

(Jest w Bibliotece Miejskiej).

M. Corelli—„Troski szatana“.

Tu szatan wcielony prowadzi na zgubę ubożego literata, zawarłszy z nim najpierw „najserdeczniejszą“ przyjaźń, podając się za księcia, nazwiskiem Lucjo Rimanez. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zdobywa literat majątek, sławę — ale jednocześnie duszę jego nawiedza niepokój, coś zaczyna się w nim psuć. Bo to już nie ten dawny literat idealista, który pisać nie rozumiał, co to jest kłamać wobec duszy własnej: to człowiek, w którym chęć sławy przytłumiła uczucia wszelkie inne. Dla osiągnięcia rozgłosu zaczyna szkalować współzawodników. Idzie mu wszystko jak z płatka. Księżę mu we wszystkim pomaga. Jednocześnie Lucjo Rimanez zaczyna robić się jakiś tajemni-

czy, co nie uszło uwagi przyjaciela, a jednocześnie niezrozumiały: ułatwia literatowi drogę do występu, zaś po dokonaniu czynu twarz księcia staje się melancholiczna, oczy smutne, a razem i straszne. Literat zaczyna odczuwać przed przyjacielem nieznana trwogę; księżę przedstawia się w jego wyobraźni jako jakiś potężny a smutny, tajemniczy a groźny nadczłowiek. Teraz dopiero przypomniał sobie literat, że księżę tajemniczo ostrzegał go przed zawarciem z nim przyjaźni, zapowiadając, że już nie będzie mógł z nim zerwać. Tajemnica wyjaśnia się dopiero na okęcie w czasie piekielnej burzy. Księżę Lucjo Rimanez okazuje swój majestat: nie przyjaciel, lecz szatan, wróg. Kiedy przy

błysku piorunu groźny książę mówi kim jest, struchlałemu literatowi zdało się, że słyszy straszne „Arimanez”. Głosem przejmującym trwogą, a jednocześnie rozżalonym przypomina literatowi wszystkie jego nieprawości i wysyła go w świat, żeby w ciągu życia je naprawił.

Takiego szatana jeszcześmy sobie nie wyobrażali: nie uosobienie zła i brzydoty, ale duch nieszczęśliwy, tragiczny. On kusi ludzi, bo to przysiągł Stwórcy, kiedy go z raju stracił. Ale obiecał mu Bóg, że kiedyś i on ujrzy miejsce, skąd został wygnany, a to nastąpi, gdy człowiek zwalczy zło na świecie. Szatan jest tragiczny: prowadzi człowieka do zła, a jednocześnie wie, że tem samem odsuwa w nieskończoność swoje wybawienie. Dlatego gorzko wyrzuca literatowi jego słabą wolę: dlaczegoż w chwili pokusy nie zdobył się

na stanowcze: Idź precz ode mnie szatanie! Jakąż słodką muzyką brzmiałyby mu te słowa! Nie danem mu było zbliżyć wygnańca do Stwórcy. Szatan przygnębiony ciężkim smutkiem patrzy w nieskończoną przyszłość: nowe cierpienia, nowe tęsknice za Bogiem, którego kiedyś kochał.

Nie bawiąc się w teologa przyznaje się, że tak szlachetna i śmiała nadzieja oszalała: Chrystus odkupił ludzkość — człowiek może odkupić szatana! Trudno sobie wyobrazić wyższy szczyt, do którego może się wznieść miłość ludzka, jak tu, dokąd wleciało uczucie autora. Jeśli tedy sądzić wartość książki według zasady, która pyta, czy po przeczytaniu jej staliśmy się mądrzejsi lub lepsi, niniejszą powieść postawiłbym na honorowym miejscu.

Antoni Maśliński.

„Co wytworzyła technika?”

Rozwój techniki sprawił, że już w XIX stuleciu maszyna coraz częściej zastępowała człowieka. Postęp techniki podnosił w wielu dziedzinach przemysłu wydajność pracy, ponad rzeczywiste potrzeby. Zdobyte techniczne opanowały dzisiejszym człowiekiem, przyzwyczyły go do myślenia kategorjami cyfr, wyliczeń, i wywołały wielki przewrót w świecie pracy.

Praca stanowi jedno z najważniejszych zagadnień ludzkości. Dlatego też przewrót, jakiego, w dziedzinie pracy dokonał postęp techniki, jest największym wyłomem w całej kulturze współczesnej.

Cywilizacja naszych czasów niezmiernie uprościła pracę.

Bezduszną maszyną zabija ducha, którym człowiek ożywia dzieło rąk własnych.

Technika, rozwijając się na wielką skalę zrujnowała rzemiosło, zapchnęła je w szary, niedostrzegalny kąt.

Proste narzędzia rzemieślnika zastąpiły skomplikowane warsztaty fabryczne.

Rzemieślnik pracuje indywidualnie. Robotnik w fabryce, nic twórczego do pracy swojej wnieść nie może.

Z zasady jest on tylko dozorcą maszyny, pilnującym, by ten hałaśliwy potwór, z którym jest związany, funkcjonował sprawnie.

Maszyna zaś upodabnia go do siebie. Wprawdzie podlega jego nadzorowi, ale i sama go kontroluje, coraz częściej wymagając, by wykonał pewną określoną ilość ruchów. Przy najmniejszej niedokładności maszyna buntuje się, zgrzyta, staje i niepokojąc zajętego przy niej człowieka, nie chce dalej pracować.

Im maszyna doskonalsza, tem posłuszniejszy musi być jej robotnik, tem większa jest jego zależność od niej.

Maszyny dzisiejsze niszczą osobiste zalety pracownika, nie pozwalają mu rozwijać swych zdolności twórczych. To też, nie dając zadowolenia osobistego roz-
rozwiązują węzły, łączące go z warsztatem pracy.

Postęp techniczny nietylko nie posuwa naprzód wielu umiejętności, lecz przeciwnie, cofa je wstecz.

Wzrost ten bynajmniej nie przyczynia się do rozwoju kultury.

Dłuto artysty jest również proste dziś, jak przed wiekami.

Ulepszone narzędzia nie podnoszą jakości, a często ją obniżają.

Praca mechaniczna zatacza coraz szersze kręgi, przenika na wieś i coraz szerzej jest stosowaną w rolnictwie.

A techniczne zdobycze wywołują jeszcze większe zmiany w psychice ludności wiejskiej, niż wśród miast.

Pomiędzy rolnikiem, a jego stosunkiem do ziemi i do pracy na roli, istniał zawsze związek głęboki, pełen przywiza-

nia i miłości do tej żywicielki. Żadna praca tak nie przykuwała człowieka, jak praca na roli. Żadna nie dostarczała tylu wzruszeń i przeżyć i żadna bardziej nie zbliżała człowieka do źródeł życia, jak ta, którą każdy kochał całym sercem..

...Maszyna sieje, orze, sprząta, młóci, ona to oddala człowieka od ziemi i ona zrywa, z nią, jego bezpośredni związek i tak, jak w pracy fabrycznej, upodabnia go do siebie. Jest to niewątpliwy postęp nowoczesnej cywilizacji, tworzącej nowe „cuda“ techniczne.

W Ameryce, mechanizacja wychowuje dzisiejszego człowieka od zarania dni jego, a później towarzyszy mu przez całe życie.

Szczególnie występuje to w St. Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie w domu, w szkole, w biurach, w fabrykach, na roli, w kopalniach, na ulicy, w magazynach, w restauracjach, w miejscach rozrywek, wszędzie panuje maszyna.

To, co powiedziałam o technice nie znaczy, że mam zamknięte oczy i na korzyści, jakie czerpie ludzkość z rozmaitych wynalazków; wśród nich zasługują na uwagę przedewszystkiem korony „cudów“ współczesnych—radio i kino, to dwie potęgi, których wpływ sięga wszędzie. Dzięki tym wynalazkom mieszkaniec Europy słuchać może odgłosów puszczy afrykańskiej, lub szum oceanu, przyglądać się życiu i pracy najbardziej oddelonych ludów, podziwiać wspaniałe miasta, morza, góry, przypatrywać się światu i najpiękniejszym dziełom..

Irena Bielska kl. VI^a



1936

Gdy zrywamy ostatnią kartkę kalendarza, uświadamiamy sobie, że skończył się już rok stary i nadszedł w blasku nadziei Nowy Rok.

Przynosi on nam wiarę w spełnienie wszystkich naszych pragnień i marzeń, zapewniając nas jakby, że pod jego panowaniem będzie nam lepiej, że osiągniemy zadowolenie z rezultatów naszej pracy. Czy spełnią się nasze życzenia noworoczne, jakie wzajemnie sobie składamy, o tem przekonamy się za rok, gdy znów będziemy żdzierać ostatnią kartkę kalendarza. Jedno jest tylko pewne już teraz: im skromniejsze postawimy wymagania Nowemu Roku, tem mniejsze potem będzie rozczarowanie. Zrozumieć zdanie to musimy w ten sposób, że lepiej ograniczyć się do kilku zamiarów, ale wykonać je uczciwie i porządnie, bo wielkie nadzieje, ogromne programy, nie oparte o warunki, jakimi rozporządzamy, uderzą zawsze w próżnię i nigdy nie zamienią się w czyny. Nowy rok wyobrażamy

sobie zawsze jako wszystko mogącego królewicza, który obejmuje panowanie po zniedołężniałym staruszkowi królowi, odchodzącym w zaświaty z chwilą uderzenia godziny dwunastej ostatniego dnia i ostatniego miesiąca. O, napewno ten młody, pełen zapału królewicz wprowadzi nowe, korzystne w życiu naszym zmiany. Nie wątpi, że królewicz ma najlepsze chęci, ale bez naszej pomocy nic nie zdziała. A jakaż to pomoc?

Przedewszystkiem wytrwałość w dążeniu do raz obranego celu i niezrażanie się przeszkodami.

Jeżeli więc, po obliczeniu się z własnymi siłami, postawimy sobie jakieś zadanie do wykonania w ciągu bieżącego roku, jeżeli okażemy siłę woli w urzeczywistnianiu swoich zamiarów, bez względu na wszelkie trudności, to napewno królewicz 1936 roku pomoże naszej pracy, która wyda dodatnie i zadowalniające rezultaty.

„Iks“ kl. III

Redakcja „Twórzmy“ wita serdecznie gazetkę ścienną Straży Przedniej „Pracę“ i życzy jej pomyślnego rozwoju.

Odpowiedzi Redakcji.

S. K. P. VII. Temat wiersza oklepany. Forma nieudolna.

„Iks“ IIIa—Artykuły; „Sport—to zdrowie“ i „Jak się uczyła młodzież w starożytnej Grecji i Rzymie“, jako artykuły do gazetki za słabe. Dobrze, jako wypracowania.

„Ita“ VIa—Słabe.

„Ż.H.“ „Wycieczka do Pienin“—słabe.

„O świni i chłopie“—obawiamy się, że niesamodzielne—nie drukujemy.

„Lola“ VIa—Forma wiersza słaba.

„Dowcipy“ niedowcipne. Prosimy o coś lepszego.

Władysław Kijuć Ib—chętnie wydrukujemy coś z życia klasy.

„Ktoś“—chcąc pisać o wojnie włosko-abisyńskiej, trzeba było powtarzać rzeczy znane, w których lubują się, jak „Ktoś“ słusznie zauważył, brukowce. Pro-

simy o dalsze prace, ale na tematy związane bardziej z naszym życiem.

„Właś-Nie“ IIIa—„Humor“ w koszu. Prosimy o coś lepszego.

„Taceo“—Uwagi w artykule: „Odpowiedź na gadania“ zupełnie słuszne, o których każdy uczeń (bez przypominania mu) powinien wiedzieć.

„Romski“—Na temat poruszony w artykule „Wsi spokojna“, drukujemy już dwie prace. Wiersze zdradzają pewne zdolności. Prosimy o dalszą współpracę.

„Irena Ż. III—Prosimy o artykuły, nie o wiersze.

„Fr. Or.“—Wiersz słaby. „Garść myśli w rocznicę powstania styczniowego“—dobre, lecz można to znaleźć w naszych historycznych podręcznikach

UWAGA: Na resztę artykułów Redakcja nie odpowiada, gdyż artykuły te są niepodpisane.

Redakcja.

Opiekun pisma: p. prof. Majewski.

Redaktor naczelny: Jerzy Duńko.

Sekretarka: Salomea Woronówna.

KOMITET REDAKCYJNY:

I. Bohatyrew, A. Maśliński, L. Pilczuk.

Wydawca Uczniowski Samorząd Szkolny przy gimnazjum Hetmana Karola Chodkiewicza w Lidzie.



LMA VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA



002 00404207 9

P-05408

Drukarnia Sz. Zeldowicz, Lida.